

Melchior Wańkowicz

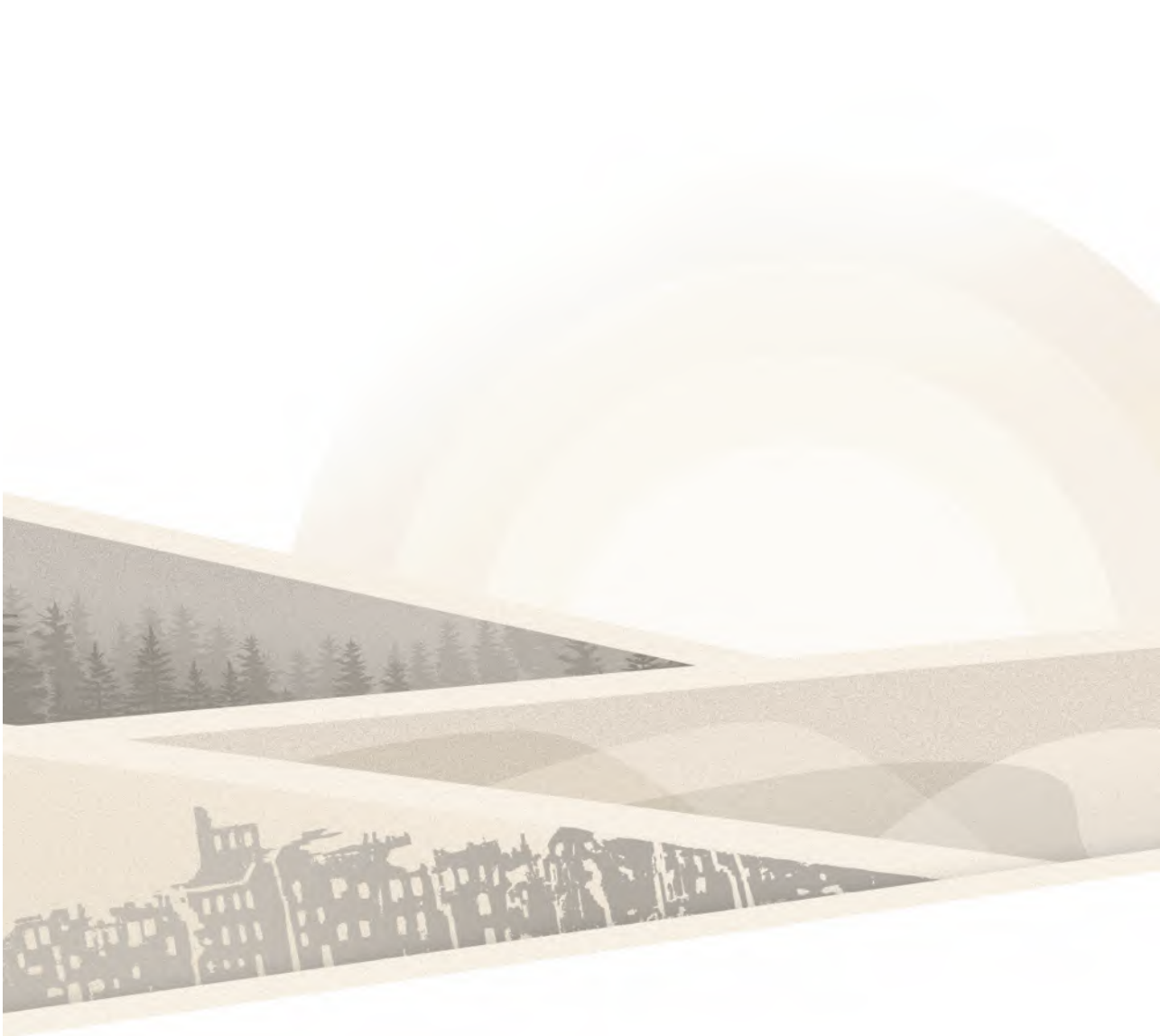
Ziele na kraterze



PEŁNE
WYDANIE

K Kolorowa
Klasyka





Melchior Wańkowicz
Ziele na kraterze

Melchior Wańkowicz

Ziele na kraterze

Opracowanie tekstu i posłowie:

Grzegorz Nowak

Korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

Zdjęcia: (str. 13, 17, 93, 97, 119, 195, 241, 269, 279, 361):

MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

© Copyright by Rodzina Melchiora Wańkowicza

2019

ISBN 978-83-7517-880-7

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. (12) 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:

Wojtek Świerdzewski

Okładka wewnętrzna:

Anatolij Sadowskiy, Lukasz Szwaj, Pixelbliss, yoshi0511 / Shutterstock.com

Skład i łamanie:

Pracownia Register

*Pisane po i przed wybuchem kraterów
w Azji – w Jerozolimie
w Afryce – w Meadi
w Europie – w Londynie i Rzymie
w Ameryce – w Lakewood, N.J.*

Dedykowane przyszłym ekskawatorom¹



¹ *Ekskawator* – (z łac. *excavatio* – odkrycie), tutaj w znaczeniu: odkrywca.

Radość wzrostu i rozpacz zniszczenia były w każdej rodzinie.

Pisałem przez pryzmat dla mnie najwyrazistszy – własnego domu. Ten dom w czasie pokoju miał swoje cechy ujemne, w czasie okupacji nie całopalił się, w czasie pogromu nie został porażony więcej niż inne domy.

Chciałbym więc tylko, aby czytający przez jego dzieje ujrzeli dzieje swoich domów i swoich rodzin, i żeby wspomnienie wywołane rozdarło na chwilę nieznośny osad życia.

Książka była pisana na emigracji, nie uniknąłem nieścisłości. Na przykład Andrzej Romocki (*Losy szesnastki*) nie tańczył mazura, a odtworzyć sobie właściwego nazwiska nie mogę. Po ukazaniu się krajowego wydania powiadomiono mnie, że Aniela Załęska przeżyła powstanie. Za możliwe inne nieścisłości dotyczące personaliów przepraszam uczestników i ich rodziny.

Melchior Wańkowicz

→ Kiełkowanie ←

Wielkopolskie niemowlęctwo

Najpierw był embrion.

Potem było w łonie matki zamknięte pulsujące życie.

Wreszcie był dziecinny pokój – świat nie do ogarnięcia w całym swoim ogromie, całej niespożytej różnorodności. Dla opanowania tego pokoju przebyć dopiero trzeba było całe epoki poprzez rozróżnianie poszczególnych sprzętów.

Nim się ogarnęło dziw nad dziwy – kończenie się miękkości dywanu i poczynanie się twardości podłogi, uchylanie się jednego, z lekka poznanego świata i ukazywanie się drugiego, absolutnie nierozpoznawalnego, którym było wnętrze szafy po rozwarceniu się drzwi, nim się opanowało wstrząs, jakim jest odbicie w lustrze, i zupełnie przechodzące pojęcie zjawisko szyby, po której z tamtej strony łązi mucha – dumną opoką, z której szły dzień w dzień te wspaniałe podboje, było głębokie łóżeczko, kolebusia, obciążnieta kretonem, mieszcząca w sobie zasiedziałe sprawy: kołderkę, przyjemnym ciepłem podpełzającą pod brodę, ściankę kolebusi, łaskawym cieniem wstającą między oczkami zapuchającymi na sen a dalekim mżeniem nieznanej lampy, sztucznego kota z obćmoktanym ogonem.

To łóżeczko – ład stały, prowincja pierwsza, z której powstaje imperium życia, brama wypadowa w awanturę świata zewnętrznego – pozostaje przez długie lata dziecinne czymś mającym znaczenie nadnaturalne. Jeśli w tym czymś nadnaturalnym zdarzy się jakiś ewenement, jest on przyjmowany z maksimum wzburzenia: takim jest zasiusianie prześcieradła, kiedy się już wyawansowało do wysadzania na nocniczek, wetknięcie się nagłe psiej głowy za siatkę, wtargnięcie konika polnego, spadnięcie w nocy poduszki na podłogę. Bezradność dramatycznego powiadamiania Mamy, śpiącej obok: „Mama – paduśka zgubiła się”, jest równie alarmistyczna, jak na przykład byłby pewnego dnia komunikat, że znikły kopalnie węgla i już odtąd będzie zimno.

Łóżko – czasem zdradzało. Matka, wróciwszy późno, zastawała dwie skostniałe figurki śpiące na kołdrach. Położyły się tak, żeby nie zasnąć i doczekać Mamy. Licha tam!... Zdradziło i wciągnęło łóżeczko.

Mama to rozumie – ten związek z łóżkiem. Mama jest duża – opanowała już nie tylko dręczącą zagadkę muchy za szybą, jest nie tylko bez ceremonii z wnętrzem szafy,



do życia na pęknięciu świata. Była to komuna¹⁰ tak doskonała, że kiedy Mama pojechała na parę tygodni do Warszawy, rodzone dziatki wzorem Toląt (dzieci brata, Tola) zwracały się do niej po powrocie przez „ciociu”.

Na powrót Mamy były przygotowane żywe obrazy. Kilkumiesięczna Tili wspornale odegrała rolę łątki. Leżała golutka na brzuszku na kolorowej poduszce, z przypiętymi srebrnymi skrzydełkami. Kiedy Tata-konferansjer – doszedł do anonsowania jej występu:

Tili – maleńka łątka –
wylazła ze swego kątka,
gdy cię ujrzała, mamusiu,
z radości zrobiła siusiu –

obeszła się bez suflera, zagrawszy swoją rolę „z wylaniem”.

Mały Biś (Irenka), też jeszcze niedorośli do roli mówionej, był wyspą Tahiti. Kiedy mianowicie chór śpiewał „Księżyc nad Tahiti bladym światłem lśni”, a Rom i Krysia, udrapowani w szale, odwalali Tahitańczyków w blasku kulistej lampy naftowej, oblepionej złotą bibulką i imitującej księżyc – Biś, stojąc na czworakach, nakryty pledem, cierpliwie reprezentował wyspę Tahiti.

– Ciociu – dopominał się basem po przedstawieniu – czy ciocia widziała, że byłam górą?

I tak szły dni – na niewiadome. Tata kuł przy oknie wychodzącym na podskubany ogródek, do którego z sąsiadów ma należeć *insula in flumine nata*¹¹. Przed oknem stał kojec, w którym rezydowała Tili, szpetul z głową wystrzyżoną przy skórce, z ogromną pajdą chleba z masłem, którego połowa była na buzi. Już bowiem minęło karmienie piersią, kiedy witała wchodzącą matkę smakowitym ćmoktaniem, jakby wnoszono befsztyk.

Czasem pod oknem rozlegał się wrzask, kiedy – mimo mocowania się z kundlem – kundel okazywał się mocniejszy i wyrwał pajdę. Połknąwszy ją, zapalał fajkę pokoju, zlizując resztę masła z gębusi.

Powoli z tych pierwszych ptasich z kojca wygwizdów i pokrzykiwań, z tych nieartykułowanych dźwięków – wyłaniał się język ludzki.

Pamiętam, kiedy wypłynęło pierwsze ludzkie słowo (bo „tata”, „mama”, „cioci”, „ensi”, „papu” stoją jeszcze na pograniczu zwierzętkowych pochrząkiwań, pomruków i popisków).

* Mama (następnie „Królik”) i Tata (następnie „King”), tak samo jak pokojówka – „Cielęcina”, kucharka – „Wąż”, Krysia – „Pyton” albo „Struś” i inne przezwiska – jako imiona własne w tej książce pisane są dużą literą. (dop. aut.)

¹⁰ Komuna – wspólnota.

¹¹ *Insula in flumine nata* – (łac.) wyspa na rzece publicznej.



Zdjęcie rodziny Wańkowiczów nad morzem, Jastarnia, 02.08.1927. Od prawej: Melchior Wańkowicz, Marietta Wańkowicz (żona brata Melchiora – Witolda), Zofia Wańkowiczowa (żona Melchiora Wańkowicza), p. Zofia – opiekunka dzieci, Jurek, Hania i Romek (dzieci Witolda) oraz Krysia i Marta (cóрки Melchiora Wańkowicza).

Kiedy pochyliłem się nad głęboką kolebeczką, w głębi której malec już się nadął do snu, otworzył w napuchniętej przedsennie buzi oczka (miał je z typową mongolską fałdą, odziedziczoną po Tatarach Baczyźmalskich, przy czym lewe było „dropiate”, z żółtą łatką na tęczówce) i chytrze spojrzął na mnie; podniósł pulchny paluszek i zwierzył się z ogromnego dorobku:

– Palać...

W tym dniu nauczył się, że tak się nazywa palec. Potem słowo nikto jednak w chwili rozważań i obserwacji, dziecinnych przymierzań i miarkowania, aż wreszcie kiedyś wypływało ponownie już jako prawidłowy „palec”.

Krysia za to żywsza, wrażliwsza, nie czekała na ostateczne ukształtowanie słowa i stworzyła wokabularz swoich najwłaśniejszych słów:

Przekupka była „krzepupką”, papuga – „papuka”, kot bury z piosenki paradował jako „kobuły”, mordka – „mośtka”, zepsuty – „ipsiuty”, prześcieradło – „popścieradło”, kubeczek – „pubeciek”, placek – „klaciek”, kielbasa – „kowbasia”, punkcik – „pumcik”, obrzydliwy – „uobziedliwy”, grzeczny – „gzieć”, chwila – „wchila”, chwala Bogu – „wchała Bogu”, rzeczywiście – „ziciście”, gwizdać – „gwizdzić”; domagała się nie chleba, tylko „łaba”, a to, na czym się siedzi, nazywała najprzód „drugim brzuszkiem”, aż ochrzciła celnym neologizmem „siądzka”.



paradoksów warszawskich, które były może prawdziwe. Wiedziałam, że jadąc, zostawię za sobą coś, czego mi żaden inny kraj i żadne inne życie nie da.

– Zobaczysz ojca... – powiedziała Krysia.

Żał mi skoczył do gardła, że muszę ją tu zostawić, o tyle bardziej wrażliwą, o tyle żarliwszą ode mnie, dławiającą się w Warszawie, gdy ja jadę w szeroki świat nieogrodzony karabinami, w świat, w którym można oddychać. Spojrzałam na nią ukradkiem z goryczą o tę jej promienną, niebieskooką, warkoczową dziewczęcość, skazaną na te gruzy naokoło i na te srebrne napisy: „Szukasz szczęścia”. Szła tuż koło mnie, prosta i krzepka, bardzo młoda, w swoim kożusku, w chusteczce, spod której spadały na plecy długie warkoczki.

Żachnęła się nagle. Usłyszałam śmiech. Obejrzałam się. Dwóch żołnierzy niemieckich szło za nami. Jeden z nich żartobliwie pociągnął chusteczkę Krysi. Śmieli się do nas przyjacielsko i niegroźnie.

– Psiakrew! – powiedziała Krysia. – Wejdźmy gdzieś. Muszę z tobą mówić. Weszliśmy do najbliższej cukierni Bliklego.

– Zamów dla siebie dwa ciastka – powiedziała wspaniałomyślnie – ja płacę. Zamówiłam i objadałam się nimi po prosięcemu. Patrzyła przez chwilę pobłażliwie, starszosiostrowo. Potem znów powiedziała:

– Zobaczysz ojca...

Zwolniłam tempo i spojrzałam z mieszanymi uczuciami psa nastawiającego uszy na nowy dźwięk.

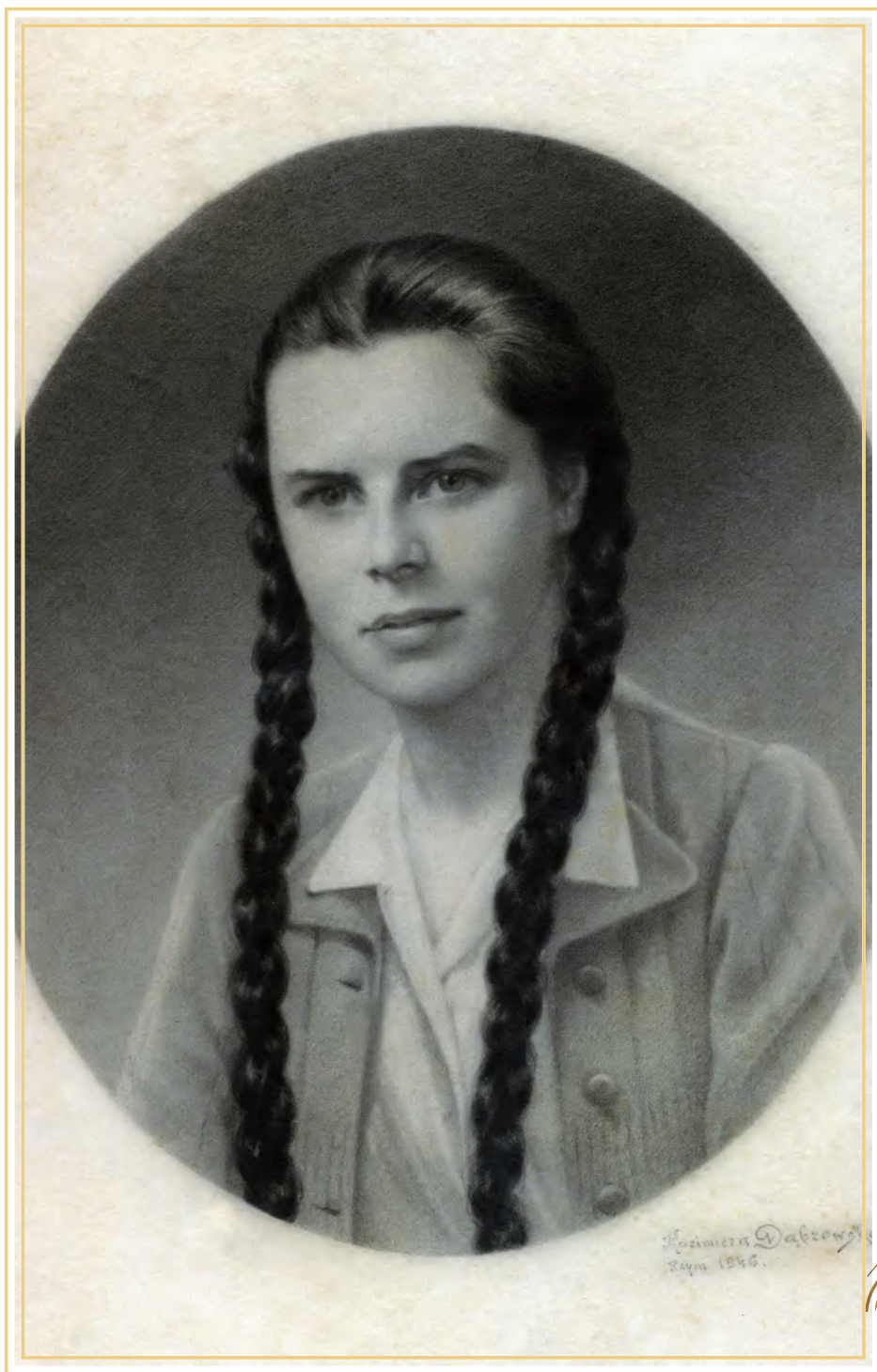
– Nie mogę do niego pisać – mówiła – ale tęsknię do niego bardzo i chcę, żeby coś o mnie wiedział...

Zdziwiłam się. Pierwszy raz słyszałam Krystynę, mówiącą o jakiejś swojej tęsknocie. Była skryta i chodząca własnymi prostymi drogami.

– Powiedz mu – mówiła – powiedz mu o naszym życiu tutaj. I że damy sobie radę. Niech się nie martwi. Powiedz mu, dlaczego wróciłam do Warszawy dopiero w miesiąc po tobie. Że miałam ważną pracę na wsi.

Szło wolne, ciche opowiadanie, które słyszałam pierwszy raz. Półśłowa dające pełną treść zdarzeń. Zorganizowana praca w terenie. Zbiórka broni po chatkach, po polach, od żołnierzy wracających. Smarowanie, owijanie, zakopywanie w oznaczonych miejscach, do użytku kiedyś. Rozciąganie sieci organizacyjnej od wsi do wsi, od chaty do chaty.

– Raz o mało nie wpadłam – mówiła spokojnie. – Wzięli trzech podejrzanych osadników. Zbili ich do krwi, do nieprzytomności. Potem kazali Franciszkowi kopać dół dla samego siebie. Gdy wykopał znojnie w twardej, listopadowej ziemi, zawiązano mu oczy, postawiono nad dołem. Głos plutonowego szczełkał mu komendy nad uchem powoli, z rozmysłem. Franciszek słyszał szczełkę przerzucanych karabinów w rękach żołnierzy. Stał w przepoconej od kopania koszuli, z rozkrwawioną twarzą, szczełkając zębami z zimna i ze strachu. Zaczął mówić głośno: „Kto się w opiekę...” rwącym głosem... Ostatnia komenda nie



Portret Krystyny Wańkiewicz, córki Melchiora Wańkowicza, w wieku ok. 16 lat, ok. 1935.



Królik bardzo pilnie, diabli wiedzą po co, studiował jakieś siedemnastowieczne akta referendarskie³¹⁹ i mężnie stawał na kolokwia, na których spotykały go czasem hańby, jak na przykład, kiedy stary profesor Bujak interesował się nie aktami referendarskimi, tylko śmiesznymi guziczkami u kostiumu i na ich intencję dał notę zadowalającą.

Królik był to najcichutszy akademik. Tłum wzdychaczy nazywał ją „Świętą z kałamarmem”, z którym chodziła na wykłady, nieznane nam bowiem były jeszcze wieczne pióra. Najcichszy akademik unikał więc najhańsliwszego, potem jednak, już po wpadunku małżeńskim, odkryło się, że gryzmołił w stosach pamiętniczków nabożne rozważania na temat duszy schodzącej na manowce i co by było, gdyby ktoś życzliwy okazał tej duszy pomoc...

Naturalnie, ten ktoś pomyślany był apersonalnie.

Kiedy wojna wybuchła i wszystkie plany wzięły w łeb, przypomniałem „Świętą z kałamarmem” i powiadam, że się z nią ożenię.

Królik był nazwyczajony do wzdychaczy, że badali swe szanse okrężnie. Stropił się nieco i powiada, że nie wybiera się za męża, ale ze strachem to powiada. Bo taki odpalony właściwie powinien iść i strzelić sobie w łeb.

Zaaprobowałbym, owszem, taką próbę uczuć, ale co z tego, kiedy przekonana mogłaby już tylko całować zimnego trupa.

Mówię tedy, aby się nie martwiła, dając mi odmowę, bo mam na dzisiaj bilet do teatru, to pójdę sobie i w ogóle zamierzam pędzić komfortowe życie.

– To po co pan mi się oświadcza, jeśli pan mnie nie kocha?

– Żeby mieć kulę u nogi.

Było więc w tę albo we w tę, ale co tu gadać – jasne było, że coś z tego będzie. Nie pozwoliła przysyłać kwiatów do domu: szpital je miał, szkoła miała, koleżanki miały, aż wreszcie, zniecierpliwiony, strzeliłem bukietem iście epuzerskim prosto do familii.

Stary Małagowski obejrzał gmaszysko kwiatów nieufnie i powiedział srogo:

– Słuchaj, Dziunia, bez kozery³²⁰ takich kwiatów się nie wysyła... I nie przyjmuje.

– A co – powiedziałem do Opoki Panieństwa, której już tylko cypel sterczał w odmęcie epuzerskiej nawałnicy – żaden Wańkowicz nie pozwolił sobie na kompromitowanie kobiety nawet przed rodzonym ojcem – idę się oświadczać, pocałujmy się, bo bez tego ani rusz.

Luba, objęta ramieniem, pokręciła się, uchylając, ale miękko się pokręciła.

Uznałem, że kto milczy, ten się zgadza, i poleciałem do gabinetu ojca.

Stary pan uśmiechnął się, owszem, nawet ciepło i pokręcił głową:

– Jakże pan dał sobie z nią radę? – zainteresował się fachowo, bo sam nigdy ze swoim babstwem dogadać się nie mógł. Byłem świadkiem, jak wielce dumny,

³¹⁹ *Akta referendarskie* – dawne dokumenty sądowe.

³²⁰ *Bez kozery* – bez powodu.



Melchior Wańkowicz w młodości, ok. 1914 r.

przyniósł córce pewnego razu kapelusz, który sam wykoncypował: były tam strusie pióra, zielony mech, liliowe wstęgi, kwiaty, wypchane ptaki – istna kanapka od Hawełki: trzy inne z jednego można by zrobić. Kobiety umierały ze śmiechu, przymierzając ten tort z osiemdziesięcioma świeczkami, ofiarowany królowej Wiktorii w osiemdziesięciolecie jej urodzin.

– To może ją jednak poprosimy? Dziuniaaaa!...

– Eee – powiedziałem niepewnym głosem – może najprzód się rozmówimy...

Kiwnął głową uspokajająco, co miało oznaczać, że rozumie, że za kobietę gwarantować nie można.

Wezwana jednak była lojalna:

– Jeśli pan Mel tak koniecznie chce...

Spis treści



KIEŁKOWANIE.....9	ODROST257
Wielkopolskie niemowlęstwo..... 9	Jak broniło powietrze?.....257
Warszawskie dzieciństwo 18	Pierwsze wiązki ziela.....260
Od liter do literatury 36	Srebrne wesele277
Na Chełmszczyźnie..... 45	OWOCOWANIE.....283
Na Litwie Kowieńskiej 57	Jak długo nastarczą ręce
Domeczek 78	mamine?.....283
Niegodne praktyki Taty.....101	Jak długo jeszcze będzie
Czy przycinać?.....112	potrzebny ojciec?286
ROZROST125	OGNIE PODCHODZĄ.....299
Wodami Polski125	Anglicy w Domeczku.....299
Drogami Podkarpacia.....132	Domeczek się broni.....306
Szczenięce lata147	Ognie doszły.....315
Po Kresach.....149	Ziele na kraterze325
Krynolinki.....157	Powstanie.....328
Konspiratorzy.....166	POPIÓŁ.....333
Matura przy błysku piorunów176	Losy szesnastki333
Smak przed jazdą180	<i>Non omnis moriar</i>336
Uniwersyteckie wspominki.....192	Brat.....342
Pedałowanie przez Europę.....201	Matka.....345
Jakże zielono w Gołańczy!.....223	Relacja łączniczki Zofii.....351
WYKORZENIANIE.....231	Relacja łączniczki Leny.....351
Lawa231	EPILOG I PROLOG.....353
Ratowanie się233	List do Krysi.....353
Chlorofil.....238	List od Tili358
Trwanie.....246	POSŁOWIE.....363



„Radość wzrostu i rozpacz zniszczenia były w każdej rodzinie. Pisałem przez pryzmat dla mnie najwyrazist-
szy – własnego domu. Ten dom w czasie pokoju miał
swoje cechy ujemne, w czasie okupacji nie całopalił się,
w czasie pogromu nie został porażony więcej niż inne
domy. Chciałbym więc tylko, aby czytający przez jego
dzieje ujrzeli dzieje swoich domów i swoich rodzin,
i żeby wspomnienie wywołane rozdarło na chwilę nie-
znośny osad życia. (...)”

W SERII KOLOROWA KLASYKA POLECAMY:



I INNE TYTUŁY

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl

K Kolorowa
Klasyka

ISBN 978-83-7517-880-7



9 788375 178807 >